

Prez

PIION

CENA 50 GR.

ROK V NR. 35 (204)

WARSZAWA

2 WRZEŚNIA

1937 ROKU

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

TRĘŚĆ

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ — ŚWIT JESIENNY
BRUNO SCHULZ — U WSPÓLNEJ METY
R. W. HOROSZKIEWICZ — HORKI I „GLORIA VICTIS”
RÓŻA CZEKAŃSKA-HEYMANOWA — EGERIA I POETA
WAŁAW MROZOWSKI — O PRZYJACIELU

OLGIERD GÓRKA

HENRYK SIENKIEWICZ A ENCYKLOPEDIA POWSZECHNA

I

Jeszcze raz o „Ogniem i Mieczem”

Wobec zasady systematycznego zniekształcania, a nieraz wprost zaklamywaną przez sensacyjną prasę i szereg polemistów mego istotnego stanowiska w sprawie twórczości Sienkiewicza, — zamknąłem swój udział w debatach na ten temat artykułem p. t. *Podzwonne dyskusji* (Pion, r. II, N. 22 z 2.VI. 1934), który już nie został objęty wydaniem książkowym moich artykułów p. t. „Ogniem i Mieczem” a rzeczywistość historyczna (Warszawa, 1934).

W tym to zamknięciu zaproponowałem ofiarowanie w nagrodę konia z rzędem, a nawet 100 złotych gotówką temu, który znajdzie w artykułach mych ustępy atakujące osobę Sienkiewicza, walory jego twórczości, jego zasługi dla obozu niepodległościowego, urwagi atakujące „Trylogię” i t. d. (o. c. str. 8). — uważając to za najlepszy protest wobec tej całej nagonki fałszów, rozszewnianych po Polsce na ten temat. Jak dotychczas, nikt nie spróbował się po tę nagrodę pofatygować, ponieważ oczywiście dowód na podobne, a powszechnie na mój temat rozsiewane twierdzenia, z tekstem w ręku tego, co kiedykolwiek na ten temat napisałem, jest nie do przeprowadzenia. Zresztą, jakby na dowód, że wszelkie zaklamanie ma ostatecznie krótkie nogi, wyczytałem ostatnio w *Przewodniku Literackim i Naukowym* (Warszawa, 1937, str. 358) z prawdziwą satysfakcją krótkie, a uczciwe i rzeczowe sstrzeżenie tego, co na temat twórczości Sienkiewiczowskiej rzeczywiście ogłosilem.

Niemniej jednak od czasu zamknięcia mego udziału w dyskusji pojawiał się w prasie periodycznej najrozmaitszego typu raz za razem cały szereg artykułów, rozpraw, polemik itd., które pomijałem milczeniem. Zdawałem bowiem sobie sprawę, że przy rozpanoszeniu się i ilościowej przewadze zaklamania, które zupełnie pomijało istotę postawionego przeze mnie problemu, tj. wyższości historycznej i pedagogicznej *Potopu* nad *Ogniem i Mieczem*, oraz wzajemnej przeciwstawności tych dwóch powieści, — dotarcie prawdy do szerszych kół polskich jest rzeczą beznadziejną. Oczywiście byłbym miał z racji ukazywania się tych najrozmaitszych artykułów bezustanną sposobność do wykazywania nie tylko nieprawdopodobnej ignorancji szeregu tych, którzy głos zabierali, ale także do piętnowania objawów tego tupetu, z jakim pod formą pseudo-naukowa-

ści aplikuje się szerokim kołom czytających w Polsce — najzabawniejże absurdu. Tak np. ukazał się w okresie mego milczenia artykuł jakiegoś „badacza” pod pseudonimem „Betulius”, w którym to pan „Betulius” zgłębił mój brak wiadomości na łamach nieboszeczki *Gazety Warszawskiej* obszernym wywodem, że Sienkiewicz nie mógł korzystać z Encyklopedii Powszechnej, ponieważ wydawanie Encyklopedii Wielkiej Powszechnej rozpoczęto dopiero w roku 1890, podczas kiedy Sienkiewicz pisał w roku 1883. Oczywiście srogi krytyk „Betulius” nigdy nie słyszał i nie nauczył się o istnieniu poprzedniej, ważniejszej „Encyklopedyi Powszechnej”, t. j. tej, którą wymienilem, a która wyszła w latach 1859—1868 w 28 tomach.

Nie brakło prób jeszcze bardziej wesołych i absurdalnych, które rozchodziły się w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy i próbowały atakować mnie krytym szychem i obniżać przed szerokim ogółem, zresztą bez wymieniania nazwiska, pozostawiając tylko w druku dowód, co można dzisiaj w Polsce ogłosić bez narażania się na śmiech. Odkryto nie mniej nie więcej, jak grób rycerskiego Podbięty, o którym zapewne przypominają sobie czytelnicy moich artykułów, że zginął na herbiec u państwa Henryków Sienkiewiczów, gdy ciągnięto węzłki, która w wybitniejszych postaciach pisanej właśnie powieści ma ponieść śmierć, wobec obiekcji niektórych z obecnych, że bohaterowie *Ogniem i Mieczem* zbyt łatwo wychodzą ze wszystkich opresji.

Wśród innych momentów pojawiła się nawet jeszcze jedna rozprawka p. dr Zygmunta Lasockiego pt. *Czy Skrzetuski był kozakiem* (Kraków, 1935), w której autor, zmieniawszy wszystkie swoje poprzednie poglądy, starał się wykazać, że bohaterem Sienkiewiczowskim nie był Jan Skrzetuski, ale dla odmiany Mikołaj Skrzetuski, szlachcic, katolik i rotmistrz. Podał nawet p. Lasocki fotografię testamentu tego Mikołaja Skrzetuskiego, udowadniająca oczywiście jego katolicyzm, gdyż — jak sam to ongiś wspominałem — tych Skrzetuskich, zwłaszcza wielkopolskich, było bez liku w ówczesnej Polsce. Odkrycie to, a nawet fotografię „testamentu Skrzetuskiego” podano zaraz w pismach, wobec czego naiwny i niezorientowany czytelnik mógł sobie wyobrazić, że nareszcie ta sprawa została wyjaśniona, jakoby na moją niekorzyść. Celowo tylko nie poinformowano polskiego czytelnika przy rozpoczynaniu podobnych alarmów, że jak z samych-że wywodów p. Z. Lasockiego wy-

niósł, był ten p. Mikołaj Skrzetuski gwałcicielem kobiet, oskarżanym o świętokradce zniszczenie krucyfiksów, pod sądnym godzącym się na odsiadanie w „turmie”, a potem publiczne piętnowaniem infamizem, (o. c. str. 18—19). Całe szczęście, że nigdy Sienkiewicz nie domyślił się nawet za swego życia, że ongiś na szerokich rozlegach spraw polskich XVII wieku istniał także tego rodzaju Skrzetuski. Na pewno bowiem jeszcze teraz po śmierci odbracałby się w grobie z przerażenia i oburzenia, gdyby się dowiedział, że mu ktoś tego infamisa i świętokradcę Mikołaja Skrzetuskiego podsuwa jako pierwowzór dla jego postaci najszlachetniejszego, do rejonów nierealnego ideału podniesionego, bohatera wszelkich eńot i prawości, jakim zrobił na stałe w swych powieściach Jana Skrzetuskiego.

Zresztą dość o tym, gdyż już poprzednio zastrzegłem się przed niepoważnym charakterem całej tej sprawy Skrzetuskiego. Cała historiografia polska przed moimi artykułami zgodnie i bez protestu uważała Jana Skrzetuskiego spod Zbaraża za schizmatyka, a tak chwalony przez moich wszelkiego rodzaju oponentów prof. Wacław Sobieski stwierdził jeszcze przede mną dla szerokiego kół publiczności czytającej, że: „największy bohater sienkiewiczowski, zbarażczyk i wiśniowiec, Skrzetuski — jak pisze nuncjusz do Rzymu — był prawosławny” (*Polska, Jej Dzieje i Kultura*, t. II, 1927, str. 102). Co więcej — już w czasie toczącej się debat stwierdził prof. Sobieski w książce przeznaczonej dla orientowania obcych, że „Skrzetuski orthodoxe lui aussi, se distingua lors du siège de Zbaraż” (*Histoire de Pologne*, Paris, 1934, str. 222). Cytuję te zdania tylko dla ilustracji z jaką bezceremonialnością urząda się dziś w Polsce zaklamane i stronnicze nagonki, wyprane po za tym z wszelkiego intelektu i orientacji, a w nadziei, że przecież do szerokiego ogółu prawda nie zdola dotrzeć. Dalsze, a tak rozmaite debaty na temat schizmatyczności Skrzetuskiego spod Zbaraża z mną, który tylko powtórzył — z podkreśleniem tego faktu — poprzednie stanowisko całej nauki, stanowią jedynie *sui generis* koncesje piszących na beneficjum i przyjemność życzących sobie tego czytelników gazet.

Nie brakło poza tym całej kolekcji innych odgłosów tych debat sienkiewiczowskich, jak np. platne komunikaty dla celów handlowych, podawane w prasie, jako artykuły redakcyjne, które bez wymieniania mego nazwiska broniły (!) „Trylogii” Sienkiewicza przed nie tylko rzekomyimi, ale świa-

domie zmyślnymi jakimis napaściami i uwabami pomniejszania. Miał mieżemod ^{zaw}nv, a ciekawy obłowy; a mianje się plsko, się cały szereg artykułów, np. o szlacheckim pochodzeniu Bohuna, wysokim poziomie przygotowania historycznego Sienkiewicza itd., których autorowie po prostu brali z mojej książki, czy artykułów, materiał źródłowy, wskazówki bibliograficzne oraz argumenty, by bez zacytowania moich prac, a wskazania źródła swych wiadomości, wypisywać artykuły, mające rzekomo bronić przez nikogo nie napadniętego Sienkiewicza.

Tyle o stronie niepoważnej i nienaukowej tej sprawy, oraz o wypadkach szukania taniego poklasku u naiwnych i niezorientowanych czytelników, wypadkach, podejmowanych nawet bez prób i chęci przyniesienia jakichś nowych obserwacji. Pozostaje mi natomiast obowiązek zanotowania rozprawy poważnej, ze względu na osobę autora i sposób zredagowania, mego dawnego nawet profesora śp. Stanisława Zakrzewskiego, która ukazała się w druku w pierwszym tomie jego *Zagadnień Historycznych* (Lwów, 1936) jako praca p. t. „Ogniem i Mieczem” Sienkiewicza w świetle krytyki historycznej. Ze zmarłym profesorem trudno mi polemizować, jakkolwiek poważny ton rozprawki wymagałby odpowiedzi na tym samym poziomie. Wystarczy, jeśli zaznaczę to, co jest mi wiadome, a co także jest widoczne dla skrupulatnego czytelnika mojej książki i rozprawki prof. St. Zakrzewskiego, a mianowicie prof. Zakrzewski czytał swego czasu i uwzględnił zabierając głos tylko moje pierwsze trzy artykuły, a nie całość mych wywodów o *Ogniem i Mieczem* i *Potopie*, gdyż na szereg obiekcji byłby prof. St. Zakrzewski znalazł automatycznie odpowiedź w poglądach już poprzednio przeze mnie wydrukowanych. Odnośnie do sprawy różnicy poglądów na postać kniazia Jaremy, to trudno ode mnie wymagać, bym przy dzisiejszym stanie nauki ukraińskiej na tym polu polegał na zdaniu Kulisza, którego tak podkreśla prof. Zakrzewski, nie wiedząc, że znawstwo tego Kulisza polecał już w r. 1867 kozakożerczy J. Bartoszewicz czytelnikom Encyklopedyi Powszechnej (t. XXV, str. 966), a więc H. Sienkiewiczowi. Mój rewizjonizm historyczny, jako sąd oparty o „ostatnie słowo” w Kuliszu, byłby naprawdę tym samym niepoważny. Pomijając tę sprawę, wystarczy z mej strony wobec fachowych historyków zaznaczyć, że prof. St. Zakrzewski wypowiadając swe sądy nie znalazł jeszcze materiałów archiwalnych, które uwzględniłem w odniesieniu do Wiśniowieckiego, np. ze zbiorów

41003 76/66A

Rusieckich, oraz szeregu listów, częściowo jeszcze nie wydanych i nie uwzględnionych, między Jeremim Wiśniowieckim i Bohdanem Chmielnickim. Do całego bowiem tego siostrunku: Chmielnicki a Wiśniowiecki istnieje bardzo wiele materiału zarówno archiwalnego, jak i wydawnego, który nie został uwzględniony również przez ostatniego monografistę Wiśniowieckiego, chociaż znalazł go już częściowo lat 60 temu np. J. Bartoszewicz. Udowodniłem niezbieżnie i bez protestów całej nauki polskiej w pracy pt. *Lieźbność Tatarów krymskich i ich wojsk (Przegląd Hist. Wojsk., t. VIII, zes. 2 i odb., str. 1—116)*, że rzucana w czasie debaty o *Ogniem i Mieczem* moja uwaga, — taka sobie *en passant* — że Tatarzy krymscy mogli wystawić najwyższej 20 tysięcy wojska, a nie 200 czy 100 tysięcy, jak przyjmowała cała nauka przede mną, — była oparta u mnie o bogate i niezbitne dowody, czerpane z niewyżysskanych źródeł tatarskich, tureckich i wykazów statystycznych chanatu. Podobnie przy innych moich uwagach o tych sprawach opierałem się o materiał, którego w debacie literacko-historycznej nie mogłem przedstawić, a który kiedyś znajdzie miejsce w pracy udawającej z druzgocącym materiałem w ręku, że w swej ostrości sądów o Jeremim Wiśniowieckim nie tylko nie posunąłem się za daleko, ale nawet nie wypowiedziałem całej ostrości prawdy. Zresztą nie bawem, a w dalszym ciągu — niejako dla ilustracji mojej metody w wypowiedziach sądów, — zorientują się czytelnicy *Pionu* ile treści dla poznania twórczości Sienkiewicza kryło się w mej — swego czasu mimochodem wypowiedzianej — wzmiance o Encyklopedii powszechnej. Dlatego też kwestię „Kniaź Jarema a Chmielnicki” zostawiam sobie na wolny czas, a tylko w odpowiedzi na wątpliwości prof. St. Zakrzewskiego, wobec moich uwag, np. w sprawie szkockiego pochodzenia Krzywonośa, zaznaczam, że wyniki one z nieznamościami pewnych materiałów, np. listu tegoż Krzywonośa, na którym podpisanym jest „Martin”, a nie „Maksym”, jak zwa go wszyscy, i prof. Zakrzewski, upatrując w tym argument jego ruskiego pochodzenia.

Mimo tych zastrzeżeń co do pełności danych prof. St. Zakrzewskiego dla tych spraw, chętnie kieruję do czytania tej rozprawy ze względu na to, by każdy czytelnik, nawet do krytyczny, mógł się przekonać, jak wygląda sygnet pracy i debatowania o danych kwestjach „tego naukowca, a iak tych owiczynskiej.” „*Wytłomaczenie zastępowo-stanien* „wypadów”, które stały się powodem ponownego zabrania głosu przeze mnie. Impuls bowiem do ponownego zabrania głosu, a bez zamiaru jakiegos dalszego odpowiadania czy kontynuowania polemiki, dała mi seria artykułów p. Józefa Birkenmajera, drukowana właśnie w tygodniku *Prosto z Mostu*, p. t. *Musagetes i znak paragrafu* (r. 1937, Nr. 35, 36, 37 i 38). Dalsze artykuły nie porażają się, zabieram zaś głos już obecnie, ponieważ po dotychczasowych artykułach zdolałem się już zorientować, czego w ogóle można się spodziewać z poszukiwań i „badań” p. J. Birkenmajera, polegających na pożytecznym zresztą wertowaniu dawnej *Gazety Polskiej*. Bynajmniej bowiem nie chodzi mi o polemikę, ale tylko o uzupełnienie i bardzo ważnym punkcie moich dotychczasowych uwag o *Ogniem i Mieczem*. Właśnie zaś artykuły p. Birkenmajera, nie znającego zresztą odnośnej literatury dla omawianych przez siebie kwestii, jak np. Kallenbacha, Czempinińskiego, Lama, St. Zakrzewskiego itd., przyniosły mi dowód, że ich autor, występujący jako badacz źródeł Sienkiewicza, nie jest nawet na tyle przygotowany pod względem naukowym, nawet na tyle zorientowanym w tym, co było podstawowymi źródłami inspiracyjnymi dla Sienkiewicza, piszącego *Ogniem i Mieczem*, by chociażby zrozumieć te wskazówki naukowe, które ja już *wydrukowałem* i podałem właśnie dla tych, którzy zechcą się tymi zagadnieniami zajmować.

W pierwszych niemal słowach mego pierwszego artykułu o *Ogniem i Mieczem* (*Pion*, r. I, Nr 3 z 21. X. 1933, str. 6) wydrukowałem twierdzenie, w którym zamknąłem niejako zaraz u wstępu mój pogląd na genezę osądzania naszej przeszłości przez Sienkiewicza w *Ogniem i Mieczem*, przy czym od razu dalem wyraz memu stosunkowemu do walorów tej powieści. Zdanie to brzmiało: „Szkice” te (scilicet: „Historyczne” L. Kubali) — jak wiadomo — stały się decydująca, a w sądach, obok Encyklopedii Powszechnej, niemal wyłączną kaniwą naukową dla „kandydata nauk historycznych” H. Sienkiewicza, gdy lat temu równo pięćdziesiąt tworzył swój genialny w rzucie, rozmachu i obrazowości pierwszy tom „Trylogii” (str. 6). Był to w kilku słowach zawarty cały sąd o genezie historycznego osądzania spraw przez H. Sienkiewicza w tym czasie, sąd, do którego bliżej potem nie powracalem, — zarówno wobec zesrodkowania się polemiki na wartości L. Kubali i spraw

Wiśniowieckiego, jak też w nadziei, że ktoś tę zwartą uwagę rozbuduje w obszernej rozprawie. Nie miałem zresztą do tego powodów, gdyż — jak każdemu czytelnikowi wiadomo — celem moich artykułów i książki, w której potem je zebrałem, było wykazanie odwróconego obrazu rzeczywistości dziejowej w *Ogniem i Mieczem*, a to celem wysunięcia na czoło walorów pedagogicznych dla całej umysłowości polskiej Sienkiewiczowskiego *Potopu*. Poza tym kierowałem się intencją wykazania dla celów krytyki literackiej faktu przeciwstawności poglądów *Potopu* z *Ogniem i Mieczem*. Moment wyższości pedagogicznej *Potopu* zyskał dzisiaj, jak wiadomo, powszechne zyciście, czego wyrazem jest chociażby obowiązkowe wprowadzenie lektury *Potopu* w szkołach średnich. Z dumą mogę ten stan rzeczy zaliczyć sobie, jako *realizację mojej zasadniczej tezy*, chociaż może niejedyn intelektualny naiwniaczek w Polsce, zaklamywany przez rozmaite uwagi i inspiracje prasy, wyinterpretował sobie ten fakt, jako „przegraną” moich wywodów „sienkiewiczowskich”. Nie dowiedziawszy się też zapewne o myśli przewodniej moich artykułów te liczne rzesze nauczycieli gimnazjalnych, o których tak mi przede wszystkim chodziło, skoro dawny skład naszego Ministerstwa W. R. i O. P. kategorięcznie i urzędownie sprzeciwili się, by argumenty i materiały orientujące w tej kwestii pedagogicznej mogły dotrzeć do naszych pedagogów gimnazjalnych, jakkolwiek wszyscy są obowiążani do nauczania i orientowania o tych zagadnieniami.

Każdy więc na podstawie tych wyżej przytoczonych, a niemal pierwszych słów moich artykułów, może skonstatować, że dalem w nich nie tylko wyraz mego podziwu dla artystycznie genialnej strony *Ogniem i Mieczem*, ale że wskazałem tam drugie źródło, które zdecydowało obok Kubali o „nastawieniu”, mówiąc stylem dzisiejszym, Sienkiewicza do całej epoki. Nie zrozumiał tej tak arcyważnej wskazówki bibliograficznej dla całej krytyki literackiej Sienkiewicza np. p. dr M. Piszczyński, jako autor artykułu p. t. *Kompleks Sienkiewiczowski w Ruchu literackim* (maj 1934, Nr. 5, str. 135), który nie umiał również rozróżnić, że co innego są źródła dla sądów, czyli idei danego autora, a co innego źródła dla fabuły powieściowej. Nie zwracałem jednak na te niedopatrzenia uwagi, będąc szczerze zniechęconym do debaty na ten temat, a poza tym wychodził mi z głowy. Lektorzy przecież uzupełnili uwzględnione przeze mnie, a tak pożyteczne i pracowite studium dr J. Kijasa. Skoro bowiem dr Kijasa pracował swą p. t. *Źródła historyczne powieści „Ogniem i Mieczem”* (*Pamiętnik Literacki*, t. XXIV, r. 1927, str. 119—135) ogłosił przed moimi artykułami, było dla mnie zrozumiałe, że zarówno przeoczył on wśród opracowań, którymi posługiwał się Sienkiewicz, *Encyklopedję Powszechną* i całą działalność naukową J. Bartoszewicza, tak samo jak wśród źródeł fabularnych opuścił *Pamiętniki* M. Jemiółow-

skiego, których znajomość zawdzięczał Sienkiewicz właśnie inspiracji tegoż Bartoszewicza. Podobne przecoczenia są naturalnie zupełnie wytłumaczalne, nakładając obowiązek, by nowy badacz tych kwestii przynosił nowe dane.

Nieszczęściem jest jednak, gdy tego rodzaju uwaga, jak moja o Encyklopedii Powszechnej, dostanie się w ręce jednostek zaufanych w sobie, a zupełnie naukowo nieprzygotowanych do osądzania omawianych w druku kwestii. Wówczas bowiem może się okazać w druku tak skrajnie nieprzwoite, a demaskujące brak wiedzy zdanie, jak p. J. Birkenmajera w sprawie źródeł inspirujących Sienkiewicza. Mianowicie p. Birkenmajer, bez wymieniania mego nazwiska, — ale w uzasadnionej, a ukrytej nadziei, że każdy domyśli się tutaj tego autora, z którego on sam zresztą czerpie bez podania źródła niektóre swoje przypadkowo słuszne uwagi, jak np. o bitwie pod Machnowką, o poglądach wypowiedianych przez Sienkiewicza w *Świecie* w roku 1913, — podał w druku następujące zdanie: „*boć tylko złośliwość, czy też ignorancja mogła niedawno jednemu z historyków podktykować słowa, jakoby Szkice Historyczne Kubali były obok Encyklopedii Powszechnej niemal wyłączną kaniwą naukową dla kandydata nauk historycznych (!) Henryka Sienkiewicza*” (*Prosto z Mostu* Nr. 36 z 1. VIII. 1937, str. 2). Podalem mój tekst i p. J. Birkenmajera, by każdy mógł sam stwierdzić, że cytując moją książkę w sposób zmuszający do domyslenia się autora, opuścił p. Birkenmajer celowo słowa „*a w sądach niemal wyłączną kaniwą naukową*”, zniekształcając w ten sposób to, co było rzeczywiście wypowiedziane. Stwierdziłem bowiem wówczas u wstępu moich artykułów, że *Szkice* Kubali i Encyklopedia Powszechna były dla „sądów” Sienkiewicza, oczywiście o naszej przeszłości dziejowej tych czasów, niemal wyłączną kaniwą, przy czym słowo „niemal” włączyłem od razu jako zastrzeżenie, które miało przygotować miejsce dla dalszych podanych uwag o pewnych koncepcjach w sądach i poglądach Sienkiewicza na rzecz J. Szujskiego, a w przeciwstawieniu zarówno do Juliana Bartoszewicza, jak L. Kubali. Opuśczenie słowa „sądy” w cytacji p. Birkenmajera stanowi wzorowy wręcz przykład eskamotowania czyichś tekstów celem wprowadzenia w błąd czytelnika, gdyż p. Birkenmajer najlepiej wie z moich własnych artykułów, że *Encyklopedia* „na rozmaite m. dr. Kijasa itd., że co innego jest zagadnienie podstaw Sienkiewiczowskich dla jego fabuły powieściowej, a co innego podstaw „dla sądów”, czyli sposobu osądzania wypadków, zjawisk i osób. Już raz ogłosiłem, że nie mogą podawać tekstów swoich artykułów w reprodukcjach fotograficznych, nie będę polemizował z tymi z piszących, którzy teksty moich wypowiedzi zniekształcają. Tej zasady przestrzegając będąc na przyszłość w stosunku do p. Birkenmajera, tak jak je zastosowałem do p. dr Czółowskiego.

Dodanie wykrzyknika przy „kandydacie nauk historycznych”, który u mnie oczywiście nie istnieje w tekście, miało służyć p. Birkenmajerowi za dowód mojej rzekomej „złośliwości” pod adresem Sienkiewicza. Tymczasem ten wykrzyknik jest w rzeczywistości tylko groteskowym — by się wyrazić popularnie — „wpadkiem” p. J. Birkenmajera, spowodowanym faktem, że niestety nie posiada on nawet chociażby ogólnej orientacji o studiach Sienkiewicza i organizacji szkół wyższych za jego czasów. Po prostu bowiem „kandydat nauk historycznych” to nie jest żadne wyzwoisko, czy złośliwość pod adresem H. Sienkiewicza, ale tylko krótkie stwierdzenie faktu dodatniego, a mianowicie że miał skończone specjalne studia historyczne czyli „patent kandydata nauk historycznych”, jak słusznie wyraża się St. Lam (*Henryk Sienkiewicz*, Poznań b. d., str. 5). P. Birkenmajer mógłby poinformować się z pracy *Szkola Główna Warszauska* (t. I. Wydział Filolog. Hist. 1900, str. 275), że Sienkiewicz w roku 1869 przeszedł na uniwersytet rosyjski po likwidacji Szkoły Głównej i że ten uniwersytet ukończył w roku 1871 (raczej tak, jak to podają Czempiniński i St. Lam, niż 1872, jak F. Hoieski: *Sienkiewicz i Wyspiański*, Warszawa 1913, str. 157, oraz ostatnio K. Czachowski *Henryk Sienkiewicz*, Kraków 1931), wobec czego został „kandydatem nauk historycznych”. Gdyby p. Birkenmajer swą specjalną wiedzę o „opracowanych naukowo” kwestiach pogłębiał od czasu do czasu np. „Ilustrowaną Encyklopedją Trzaski, Ewerta i Michalskiego”, to uniknąłby podobnych kompromitujących „wpadków”, bo dowiedziałby się, że kandydat itd to jest „*tytuł*, nadawany dawniej w Rosji tym, którzy ukończyli uniwersytet” (t. II, str. 831). Po takiej konsultacji byłby zrozumiał p. Birkenmajer, że to stwierdzenie ukończenia studiów historycznych przez Sienkiewicza było z mej strony wstępem do stwierdzenia przeze mnie na innym miejscu i przy porównaniu go z L. Kubalą, że Sienkiewicz zmysłem krytycznym „górał nad współczesną historiografią tych wypadków”, t. j. np. Kubalą (zob. moje „*Ogniem i Mieczem*” a *Rzecz. Hist.*, str. 30). By jednak takie ujęcie zrozumieć, to trzeba coś wiedzieć o organizacji studiów uniwersyteckich, gdyż inaczej wykrzyknik p. J. Birkenmajera przypomina mi naszych chłopków z zachodniej Małopolski, którzy się obrażali na termin „sufran”, chociaż to jest tytuł funkcji biskupiej. Nie obrażają się jednak, nieporozumienie nie brać za złe, ale wątpliwie nie daje to t... a właśnie naszym pocerwim chłopkom moralnego uzasadnienia, by np. fachowych kanonistów nazywać od razu „ignorantami” w rzeczach kościelnych. Zresztą łatwo przekonać się, że nie chodzi mi w tym wypadku o złośliwość pod adresem p. J. Birkenmajera, ale tylko o dowód jego braku przygotowania. Każdy bowiem np. ze wspomnianego artykułu prof. Zakrzewskiego orientuje się, że tenże prof. Zakrzewski, jako fachowiec naukowy i zorientowany w życiu umysłowym Polski XIX wieku, również rozumiał, że przez Encyklopedję Powszechną wskazałem na artykuł J. Bartoszewicza, do którego też za moją wskazówką sięgnął, jak też podkreślił w zgodzie z mną wykształcenie historyczne Sienkiewicza (zob. *Zagadnienia* str. 81 i 89). Zbiera więc chęć przy tej „encyklopedii” i „kandydacie”, by sparafrazować znane łacińskie przysłowie na stwierdzenie, że „si duo legunt idem, non est idem”. Chcąc bowiem zabierać głos w sprawach naukowych i innym wymyślać od ignorantów, trzeba przynajmniej tyle wiedzieć, by móc zrozumieć to, co rzeczowo przygotowana jednostka przedtem o danej sprawie stwierdziła. Inaczej powstają tego rodzaju nieprzyzwoitości, jak zarzut ignorancji pod moim adresem właśnie ze strony p. Birkenmajera, którego cała „wiedza” nie wystarczy chociażby na zrozumienie jednego zdania, które ten „ignorant” wypowiedział. Życząc więc „pobożnie” p. Birkenmajerowi, by po najdluższym życiu doszedł do tyłu formalnych tytułów naukowych w Polsce i za granicą i do tyłu prac tłumaczonych z polskiego na obce języki, wiele ten napiętnowany przez niego „ignorant” ma już dawno za sobą, — roztają się z p. J. Birkenmajerem na teraz i na przyszłość, by raczej niepoważnych nie łączyć z poważną kwestią, której omówienie stało się dla mnie impulsem do ponownego zabrania głosu.

Jest to mianowicie zagadnienie wpływu „Encyklopedji Powszechnej” i Juliana Bartoszewicza na genezę *Ogniem i Mieczem*, oraz na Sienkiewiczowskie rozumienie spraw kosackich i Jeremiego Wiśniowieckiego, względnie na cały jego system pracy powieściopiskarskiej w czasie tworzenia pierwszych powieści, wchodzących w skład „Trylogii”.

OLGIERD GÓRKA

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ
ŚWIT JESIENNY

Gęsi krzyczą za lasem. Budzą się nad ranem,
Mgła mleczna świat okrywa i zwiisa na drzewach,
Słońce jeszcze schowane, krzyk gaśnie i znou
Wybucha tak żalorny jakby nocne ganie.
Okna trzeba zamykać już na noc. Jest chłodno.
Jesień wraca do lasu, do domu, do ludzi.
Uspakaja nas bardzo. Tylko gęsi krzyczą.
I pociągi turkoczą tak samo za mgłami.
Przed chwilą może jeszcze — ale to już dawno —
Stałem na lekkim moście nad zieloną wodą
I czulem oddech, który pierś rozszerzał drogą,
Obejmowałem cialo mile choć nie młode.
A teraz gdy zza mglistych pasm i mlecznych wtókien
Wynurza się ten okrzyk przykry i stęskniony
Przypominam w mym chłodnym łóżku ciepły dotyk
Tej ręki, zimnej dzisiaj, która mnie cieszyła.
Teraz ten most w tumanie tonie i staw cały
Okryty mgłą paruje w przedjesienne rano.
Nikogo tam nie widać. Tylko stoi może
Mój obraz pochylony nad czarniawym cieniem
I śledzi w zimnej głębi odbicie, którego
Tam nie ma, i już nigdy, już nigdy nie będzie.

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

BRUNO SCHULZ

U W S P Ó L N E J M E T Y

(MARIA KUNCEWICZOWA I KARIN MICHAELIS)

Nowa powieść Karin Michaelis¹, przyjęta w Danii i w Niemczech z wielkim uznaniem, jest mistrzowskim portretem matki, arcydziełem charakterystyki psychologicznej — osiągnięciem, jak w dramacie, metodą czystego przedstawienia poprzez słowa, gesty, reakcje osoby przedstawionej. Cała powieść jest w istocie jednym wielkim monologiem staruszki, którą autorka przeprowadza przez rozmaite sytuacje, okazje do wyłowienia niepojętego, starszej gadatliwości. Czuje się, że autorka niczego nie konstruuje, że wystarczy jej przytknąć oczy, ażeby znów usłyszeć w sobie ten kochany, gderający głos, żeby dalej toczył się w niej ten nieskończony monolog, płynący piątę przędzie przez wszystkie tematy. W tym znaczeniu mamy tu pozornie przed sobą pewnego rodzaju stenogram, na gorąco odpisany z życia, surowy materiał nie przetworzony artystycznie i nie skomponowany. Jest to naturalnie złudzenie. Wiemy, że już w samej pamięci pisarza dokonuje się selekcja materiału, a tylko talent i mądrość pisarza potrafią tak zaostriżyć i nagiąć elementy, ażeby każdemu zdaniu tego monologu nadać tę perspektywę, tę symptomatyczność, która zeń czyni jakby wzmocnienie. Równocześnie ten monolog rzuca światło na otoczenie staruszki, wydobyla jak kaganek z mroku kolejno całą teraźniejszość jej i przeszłość.

Polskiemu czytelnikowi nasuwa się pewna analogia z *Cudzoziemką* M. Kuncewiczowej, analogia nie tylko tematyczna. Oboje powieści są z pewnego punktu widzenia próbą uwolnienia się od kompleksu matki, obrachunkiem wewnętrznym z najdroższą umarłą, pewnego rodzaju ekspiacją i przezyczeniem kompleksu przez artystyczną obiektywizację. Oboje są portretami kobiet o niespożytej witalności, czujących się w otoczeniu i przytłaczających. U obu bohaterki przybiera ta ekspansyjność formy dziwne ambivalentne pod względem moralnym, niekiedy zdecydowanie ujemne. Ale gdy duńska autorka, prymitywniejsza, zdrowsza, nierozszczepiona wewnątrz, przeciwstawia tej ambivalencji jedynie głęboko ludzką pobłażliwość i zrozumienie, reaguje na nią humorem przepajającym dzieło — polska powieściopisarka daje się całej wciągnąć w potrzask problemu, bierze go tragicznie, rozprawia się z nim poważnie, wytacza przeciw niemu cały arsenał nowoczesnego duszoznawstwa. To nadaje polskiej powieści większy ciężar gatunkowy. Zresztą trzeba by przypisać, że obie bohaterki różnią się zasadniczo formatem psychicznym, i to już usprawiedliwia różnicę w artystycznym ich potraktowaniu.

Karin Michaelis daje nam nie tyle portret indywidualny, ile raczej studium starości w ogóle. Nielsina, prosta, prymitywna kobieta, nie ma w gruncie rzeczy indywidualnego losu, jakiegoś osobistej tragedii, jak *Róża* z *Cudzoziemki*. Jej los jest raczej gatunkowy i reprezentacyjny. W tym świetle nabiera powieść znaczenia cennego dokumentu ludzkiego, jako mistrzowski obraz — patologii starości.

Nielsina przekroczyła pewną granicę wieku, poza którą objawy życiowe człowieka nie są już brane w ich pełnej wadze, poza którą przestajemy je traktować merytorycznie, a zlatwiamy się z nimi na płaszczyźnie symptomatycznej, jak z reakcjami dzieci. Znajduje się ona w wieku, w którym raz jeszcze osiąga się nieodpowiedzialność za swe czyny, uzyskuje się pewien rodzaj potwornej niewinności. W cieniu tej niewinności: roztacza staruszka całą pełnię swego starczego egoizmu, próżności i despotycznych wybryków, rozwija całą skalę zdzieciniałości i popospolności. Czyny to tym laniej, że starość jest w jej szczęśliwej odczynie *tabu*, jest otoczona najpobłażliwszą i najczulszą opieką. Wydaje się niekiedy, jakby córka była dumna z tego wyhodowanego nieskończoną tolerancją i cierpliwością — menstrualnego okazu starczego despotyzmu, jakby nim kokietowała... Śledzi ona z miłością i wzruszeniem ten karykaturalny przebranie witalności, spoza którego prześwieca żalozna ruina dzielnej niegdys, żywej i bystrzej, obiema nogami w życiu stojącej osobistości.

Karin Michaelis ma swoje lube utrapienie z nieposkromioną staruszką. Nielsina nie dopuszcza do świadomości faktu, że córka jest już sama starszą kobietą, która u-

¹ KARIN MICHAELIS: *Serce mojej matki*. Powieść. Z upoważnienia autorki przełożyła z duńskiego Zofia Gułńska. Tytuł oryginału: *Mor*. Nakładem „Nowego Wydawnictwa”. Warszawa 1937. Str. 268 i 4 nl.

dowodniła swe prawo do samodzielności, że jest pisarką europejskiej sławy. Dla samopoczucia jej potrzebna jest fikcja córki meudanej, głupiej, pomyłonej. Tę fikcję piastuje w sobie i umie utrzymać wbrew wszelkiej oczywistości, wbrew objawom holdu i uznania świata. Nieustannie ubolewa nad zgubnym nałogiem do pisania biednej Karin, nałogiem przynoszącym jej tylko przykreści i ataki ze strony świata. W jej oczach jest Karin człowiekiem wykojelejonym, którego tylko opieka matki ratuje przed ostateczną ruiną. Przy każdej sposobności bada jej uszy, czy nie są brudne, musztruje ją i strofuje, naigrawa się z jej niegrabności i jej dość miernej urody. Nie wiadomo, do jakiego stopnia bierze na serio tę swoją fikcję, ale w jakiś niejasny sposób współżyje ta fikcja z ukrytą i nieprzyznaną świadomością o istotnej sytuacji światowej córki. Nielsina cieszy się w gruncie rzeczy sukcesami córki, przyjmując je jakoby na własny rachunek.

Córka toleruje z anielską cierpliwością tę samowolę z jaką staruszka rządzi się w domu, z jaką rozporządza i sprzedaje za bezcen pod nieobecność córki drogocenne obrazy i meble, które nie znalazły jej uznania, rozdaruje biżuterię Karin.

Raz nawet w złośliwym starczym humorze radzi córce, ażeby zrobiła swój testa-

ment wobec swej prawdopodobnej przedwczesnej śmierci i rozwodzi się szeroko, jak zadyśponuje jej majątkiem.

Ta setna staruszka posiada jeszcze ciekawość życia — podlotka. Często wydaje się, że to ona raczej jest rozbuzana córeczką Karin, albo jej młodszą, dziką siostrzyczką. Przekroczywszy pewien wiek, czuje się ona jakby po drugiej stronie śmierci — w nowej, złudnej młodości i dzielności. To prowadzi ją do nierozumnej przedsiębiorczości, do nierozważnych wyczynów sportowych kończących się żaloznie.

Poprzez ten pierwszoplanowy obraz nowej, rozpierającej się w starczej witalności osoby prześwieca głębsza warstwa psychologiczna, w której te symptomy zmieniają swą barwę. Autorka pokazuje dziwną dwuznaczność tego starczego optymizmu i każe domyślać się jej żaloznej strony odwrotnej. Ta wzmiana przedśmiertna witalność jest produktem kompensacji, jest rozpaczliwą obroną prestiżu życia przed napierającym rozkładem. W końcu zarysowuje się spomiędzy tysięcy realistycznie podpatrzonych rysów centralny mit życiowy tej biografii. Tym mitem osobistym staruszki jest idea pewnego przymierzania ze szczęściem, prywatnego paktu z losem, spoczywania bezpiecznego w protekcji Boskiej. Gdy mit ten doznaje klęski przez śmierć na obczyźnie u-

kochanej i pięknej córki Harriety — staruszka lata go, jak może, fikcją pięknej i bezbolesnej śmierci dziecka, podsuniętą jej przez otoczenie. To ją pociesza. W duszy sędziwej staruszki szczęśliwa, dobra śmierć zajęła dawno miejsce jakiegoś upragnionego celu, czy dopełnienia życia. Marzy ona o tym, żeby po śmierci mieć wszystkie swoje dzieci dookoła siebie — w grobie. Ten rys starości, jak gdyby przedłużenie macierzyństwa poza grób — jest zarówno trafny i głęboki, jak niesamowity. W końcu jednak ta ostatnia forteca mitu upada: Nielsina dochodzi powoli na podstawie pewnych poszlak do strasznej prawdy, że Harrieta umarła okropną i tragiczną śmiercią po kilkakrotnych próbach samobójstwa. To wstrząsa podwaliny jej mitu i to ją lamie.

W ostatecznym efekcie dała autorka portret bardzo odważny, nie upiękuszony i nie uszmiukowany. Nie usprawiedliwia niczego i nie tłumaczy — nie wybiela wcale. Jej miłość życia jest dość szeroka i pojemna, ażeby wszystkie te zakrety, manowce i wybiegi wzruszającej siły witalnej, tej bohaterkiej woli istnienia i utrzymania się wbrew wszystkiemu — objąć i udźwignąć, towarzyszyć im głęboką sympatią nawet tam, gdzie stają się dwuznaczne i wątpliwe. Ten pozorny brak pietyzmu jest właśnie głębokim pietyzmem, pietyzmem szeroko i liberalnie pojętym, odklamaniem kompleksu matki i podźwignieniem do na płaszczyznę prawdziwego humanizmu.

Powracając do zestawienia z *Cudzoziemką*, to polska autorka postawiła sobie — przyznać trzeba — zadanie ambitniejsze, o głębszym i uniwersalniejszym zasięgu. Kuncewiczowej udało się prócz tego zdynamizować swój portret matki, udrumatyzować swą diagnozę, uruchomić swe wzglady i odgągnięcia duszoznawcze pewnym rodzajem akcji powieściowej. W ten sposób dała ona swemu obrazowi trzeci wymiar, którym jest rozwój, historia, rozwijanie kompleksu bohaterki. Ażeby to zrobić, musiała dokonać rewizji całej przeszłości, wciągnąć całą biografię w obręb portretu. U północnej autorki czuje się brak tego trzeciego wymiaru, tkanka jej powieści rozściła się płasko, rozrasta na jednej nieskończonej płaszczyźnie teraźniejszości. Brak tu scentralizowania narracji, brak artykulacji przy pomocy akcji powieściowej. Brak tu nurtu, czy powie-trza, które ułatwia recepcję utworu — tak iż miejscami zagraża stagnacja wśród monotonii nieskończonego monologu. Wypływa to do pewnego stopnia także z różnego stopnia agresywności intelektualnej obu auterek. Kuncewiczowa jest wobec czytelnika agresywniejsza, narzuca mu więcej, prowadzi go, oszołamia, zaskakuje głębią i nawiązaniem swych diagnoz. Autorka duńska jest wobec nas jakby w defensywie, nie atakuje, liczy owsem na naszą agresywność, na współdziałanie uczucia i intelektu czytelnika. Wstrzymując się sama od wszelkiej interpretacji, dostarcza jak gdyby surowego materiału zebranego w toku psychoanalizacyjnej auskultacji, dostarcza go z wszystkimi sprzecznymi i nierozwikłanymi antynomiami — ufna, że w odbiorze czytelnika scałkuje się i zorganizuje on w całości syntezę charakterologiczną. Gromadząc w ten sposób setki symptomów i reakcji, osiąga ona na drodze indukcyjnej to wrazenie nieskończonej perspektywiczności duszy ludzkiej, którą Kuncewiczowa zdobywa, wypiętrzając ku czytelnikowi śmiały konstrukcję swej nadbudowy psychoanalitycznej. *Cudzoziemka* porusza głębiej, porusza i wzrusza, jest bogatsza w momenty liryczne i dramatyczne. U Karin Michaelis nie ma tych wzdłotów i szczytów, jej uczucie rozmieszczone jest jakby śródczęsteczkowo, równomierną atmosferą sympatii, czulego wzruszenia, przenikającego całą książkę. *Cudzoziemka* jest dziełem większej energii intelektualnej, większego wkładu duchowego i silniejszej stawki uczucia, jest — słowem — dziełem o większym ciężarze gatunkowym. A jednak jest coś w książce autorki duńskiej, tyle prostszej, uboższej i mniej wyrafinowanej, co daje jej pewną wyższość jakby klasy czy gatunku kultury, klimatu moralnego, czy atmosfery współżycia ludzkiego. Właśnie to, że autorka duńska nie potrzebuje wyrafinowania, że analogiczne problemy i sprawy zlatwiają się tu prościej i naturalniej, w sposób niepatetyczny i samo przez się zrozumiały — jest niezauważoną, w posagu otrzymaną wyższością szczęśliwszej, zdrowszej, nieproblematicznej umysłowości społeczeństwa, z którego K. Michaelis wyrosła.

R. W. HOROSZKIEWICZ

HORKI I ORZESZKOWEJ „GLORIA VICTIS”

Na Polesiu, w powiatach drohiczyńskim i kobryńskim, umiejscowiła Orzeszkowa akcję swych nowel wydanych w zbiorze *Gloria Victis*. Nowele te oparte są na wspomieniach osobistych z gorących dni powstania styczniowego. Zdarzenia prawdziwe odzwierciedla w nich Orzeszkowa wiernie, lekko tylko podmalowując je literacko, przeinaczając nazwiska, może trochę podciągając i wydatniając też charaktery działających osób. Krajobraz natomiast i nastroj oddany jest zupełnie wiernie, pisała je przeciw Orzeszkowa ze wspomnień, które głęboko zapadły jej w duszę.

O ludziach tych właśnie i czasach myślałem jadąc koleją w roku 1930 z Brześcia n. B. przez Kobryń i Drohiczyń Poleski do Janowa pod Pińskiem. Z książką *Gloria Victis* w ręku jechałem zobaczyć okolice w niej opisane. Z pociągu wsiąść trzeba było w Janowie, skąd wąskotorówka jedzie się na południe, w lasy „horeckie” już, nad kanałem królewskim położone.

Kraj to romantyczny, państwo przyrody. Las i mokradła... Wsie, przez które się przejeżdża, wydają się jakby wyrosły razem z lasem i człowiek tęteży jest z nim silnie wyglądem i obyczajami zespolony. Ubrazy szaro — zachowuje się cicho, dyskretnie. Nie ma tu gwaru i ruchu zawiadającej wsi krakowskiej czy lubelskiej, nie rozbrzmiewają melodie barwnej, rozpięwanej wsi polskiej, panuje cisza i skupienie jakiegoś i cierpliwego wyczekiwania, tak charakterystyczne dla myśliwego i rybaka. I dziwne, niezgrabny w łapciach i w parciach swych okryciach Polszuk, rażący na bruku czy w pociągu, jakże staje się stylowy i zrosły z krainą swą — na łodzi, czy na mszarze.

W głębi lasów, w okolicach kanału królewskiego leżą Horki — wieś, w której rozgrywa się akcja większej części nowel z *Gloria Victis*, z których pełną wyrażają się wspomnień jest *Oficer*.

W noweli tej opisuje Orzeszkowa dwór horecki: „Dwór to był stary, ze starym, dużym, niskim, białym domem, ze starym, wielkim, cienistym ogrodem, z dziedzińcem rozległym, zasadzonym drzewami, krzewami, kwiatami. Dwór to był poleński, więc dookoła i z bliska otaczały go stare, głębokie i wysokie lasy...”

Od dawna należał dwór, Horki i okolice majątki do rodziny Butowt-Andrzejkowiczów. W czasie powstania właścicielem Horek i sąsiedniego Paulinowa był Kaliks Andrzejkowicz, młody, 26-letni syn Izdyrdy. Wraz z nim mieszkała we dworze horeckim siostra jego, Teofila, młoda wówczas bardzo, może 15—17-letnia panna. Ona to właśnie jest ową Tosią, opisaną w noweli *Oficer*.

Kaliks Andrzejkowicz za udział w powstaniu stracił Horki, więziony początkowo w twierdzy w Brześciu n. B., skazany następnie na wygnanie, 7 lat spędził w Tom-

sku, na Syberii. Amnestionowany, wrócił do kraju i osiedlił się w Dukli, w Małopolsce, skąd przeniósł się następnie pod Warszawę. Umarł w roku 1899.

Teofila Andrzejkowiczówna dwa razy wychodziła za mąż. Pierwszy raz za Antoniego Wysłoucha z Pirkowicz, drugi raz za Juliana Frankowskiego. Zmarła w roku 1910 i pochowana została w tychże Pirkowiczach, pod Drohiczyem.

W noweli *Oficer* występuje jeszcze pod nazwiskiem Aleksandra Awicza daleki kuzyn właściciela Horek, również Andrzejkowicz. W opowieści literackiej Orzeszkowa ocala go z więzienia w Kobryniu i wysyła za granicę, prawdziwy jednak Aleksander Andrzejkowicz zginął w powstaniu.

Bitwy traugutowskię opisał w *Gloria Victis* stożone były w dniach 17, 21 i 25 maja w r. 1863. Głównym ich terenem były lasy horeckie i grobla, leżąca na drodze z Horek do Odryżyna. Na tej grobli zginął oficer kosački (mogile jego pokazują mieszkańcy wsi) w potyczce opisanej przez Orzeszkową w kilkakrotnie już wspomnianej przez mnie noweli *Oficer*. W sąsiedztwie jej, w Paulinowie, znajdują się mogiły powstańców, nad którymi pieczę rozłożył dzisiaj Związek Strzelecki.

W 1930 roku żyli jeszcze w Horkach ludzie pamiętający powstanie. Pamiętał je Choma Kasiańczuk, który był chłopakiem kredensowym we dworze i da powstańców w kuchni... „porosionka krutusi” (na roznie ma się rozumieć...). Pamiętał bitwę na grobli i 80-letni Konon Kuźmicz. Obaj z Chomą podglądali oficera, który po bitwie mył się w karczynie w Horkach. Opowiadali też o kowalu Antonim Krawczuku, który kosił w lesie dla powstańców, o innych też towarzyszach, znajomych i krewnych, którzy do powstania poszli, jak Kuźma, furman dworski, jak chłopcy ze wsi: Jakub Marczuk, Karp Kuźmicz i inni. Opowiadali i o Wasylu Pekaczu, który zdradził swoich i Moskali naprowadził na obóz powstańców w lasach ukryty.

I opowiadali jeszcze o kobiecie młodej, którą Rosjanie schwytali we wsi Glinna. Papiery przy niej jakieś znaleźli, rozstrzelali ją więc zaraz, i leży ona w grobie, na którym kamień ktoś położył, a na kamieniu długo odczytać można było litery: S. N. (Może jeszcze litery te, na owym kamieniu wspomnianym w lasach pińskich i dzisiaj odczytać można?).

Na tle dalekich, młodzieńczych wspomnień snuła Eliza Orzeszkowa swe powstańcze opowieści. Odtwarzała w nich strony tak sobie dobrze znane, opisywała ludzi, z którymi przeżyła szczerze chwile styczniowego powstania. Nie fantazja, nie literackie to pomysły. I ludzie ci, i czyny ich, i dzieje, legitymacja to historyczna, niepodległościowa — Polesia.

R. W. HOROSZKIEWICZ

BRUNO SCHULZ

RÓŻA CZEKAŃSKA-HEYMANOWA

EGERIA I POETA

(Z ŻYWOTA MARII KALERGIS)

Gdy opuszczał Warszawę i ruszał w świat po naukę i rozszerzenie swoich horyzontów myślowych, pokładano w nim wielkie nadzieje i rokowano świetną przyszłość. Rozentuzjasmowane panie przysyłały mu kwiaty i wieńce laurowe. Antoni Czajkowski zebrał go odą, gdzie nazywał go Noem, w którym „przyszły zaród świata stoi”. W mieście kursował wiersz anonimowego autora, przepowiadającego, że „zmarła czy wkrzeszona Polska Cię obwieści poetą swych wnętrzności, synem swoich boleści”. Wprawdzie warszawscy krytycy uszczepiliymi uwagami starali się niejednokrotnie obniżyć wartość jego twórczości, jednak Norwid, choć boleśnie to odczuwał, nie przestawał wierzyć w swój talent, a przyjaciele ze wszystkich stron starali się utwierdzić go w tej wierze i wysokim o sobie mniemaniu. Wśród nich był pierwszą osobą, ich ośrodkiem, dumą i nadzieją.

Ten sam człowiek nie bywa nigdy jednakową wartością w różnych środowiskach. W Warszawie w kręgu swoich przyjaciół Norwid był słońcem i królewiczem. We Florencji w gronie świetnych gości pani Kalergis był zaledwie jakimś nieznanym artystą z dalekiego kraju. W Warszawie wiedziano, że Norwidowie wywodzą się ze starożytnych Normanów, a choć w nowszych czasach osiedli na Litwie, jako zwyczajna „amarantowa” szlachta, to jednak w zylach ich płynie królewska krew Sobieskich. Tutaj w Italii wśród kosmopolitycznych paniątek trudno było się tym legitymować. Swoją twórczością artystyczną Norwid nie mógł im również imponować. Jako poeta piszący po polsku, był dla nich niedostępny. Jako malarz i rzeźbiarz krystalizował się dopiero, pracując we Florencji pod kierunkiem Ludwika Pampoliniego.

Dlatego rozumiałe było, że Norwid niechętnie przebywał wśród gości swoich warszawskich przyjaciół, natomiast każdą wolną chwilę, gdy panie były same, z rozkoszą im poświęcał. Opowiadał im o pobycie w Monachium i Norymberdze, gdzie studiował twórczość Wita Stosza, Kraffa i Dürrera, o swoich wędrowkach po kraju w towarzystwie Weżyka i Antoniego Czajkowskiego. Jak silnie przemówiła wówczas do jego wyobraźni sztuka ludowa, w której widzi nieprzebrane skarby artystycznych możliwości. Jakże piękne są pomysły tych prostych ludzi, jaka bogata fantazja przebiega się w podaniach ludowych. A ich stroje! Sukmany, chusty, kierzaje! Gdy mówił o procesji, oglądanej w Krakowie w oktawie Bożego Ciała, drżał po prostu z zachwytu i wzruszenia.

Panna Trembicka, mając na kolanach jakąś ręczną robotkę, słuchała poety z szeroko otwartymi i rozbyłymi szczęściem oczami. Jej ręka z igłą nieruchomieła wysoko w powietrzu. Nie zdawała sobie z tego sprawy i tak gotowa była słuchać go bez wytchnienia. Pani Kalergis towarzyszyła tym rozmowom, improwizując cichutko na fortepianie. Niekiedy wtrącała jakieś wesołe słówka lub żarciki. Wszyscy się śmiali, a najgłośniejszemu sam Norwid, szczęśliwy, że jest tuż obok niej, a ona go słucha z zajęciem i ciekawością.

Maria zaczynała lubić towarzystwo poety. Potrafiła szybko ocenić jego głęboki i oryginalny umysł, wiedziała, że może przy nim dużo skorzystać i nauczyć się, a takiej sposobności nie zaniedbywała nigdy, szczególnie wówczas, gdy ją samą nie kosztowało to zbyt wiele trudu. W dodatku nauczyciel nie był stary ani nudny, ale młody, interesujący i... zakochany, co dodawało nie mało pikanterii rozmowom. Obcowanie z nim zastrzalał dowcip i podniecało inteligencję. Wywiązało się między nimi jakieś

zaczepno odporne przymierze. Maria nie zdawała sobie sprawy z głębokości uczuć Norwida, który często przybierał wobec niej ton na wpół żartobliwy i podkpiwał sobie z lekka z jej światowego życia wielkiej damy, co ją drażniło i powodowało z jej strony cięte i przekorne odpowiedzi.

Norwid miał dla panny Trembickiej wiele przyjaźni, ale Marię kochał, toteż marzył, żeby te rozmowy zamienić na rozkoszne same na sam z panią swoją, jak ją w myślach nazywał. Sposobność ku temu nastrożyła się niebawem. Pani Kalergis miała zalecone sobie przez lekarza „dla ruchu i lepszej

konkocji” codzienne przejażdżki konne. Gdy wspomniała o tym, poeta zaoferował się jej towarzyszyć i propozycja ta została laskawie przyjęta. Samotne przejażdżki konne z Pietruszką tylko w roli grooma były nudne. Wprawdzie na jedno skinienie służyłby jej hr. Adam Potocki, Józef Szembek lub ktoś z miejscowej młodzieży... ale ukazywać się codziennie w towarzystwie którego z tych panów było by to narażać się na plotki i komeraże. „Pan Cyprys” to zupełnie co innego, rodak, bardzo młody, a do tego artysta, to ktoś jak paż królowej, więc dla opinii nieszkodliwy, a dla spędzenia czasu miły i mierny.

„Pan Cyprys” zapożyczył się na sprawnie sobie eleganckiego stroju do konnej jazdy. Szczęściem pani Kalergis trzymała na stajni kilka wierzchowców, więc o konia nie trzeba było się starać.

Ranki były różowe od słońca, błękitne pogoda, kolorowe od kwiatów, pachnące świeżością i ciepłym wiatrem. Wyjeżdżali przez Porta Romana drogą, wijącą się wśród wzgórz florentyjskich. Mijali tonące w zieleni podmiejskie domki, przed nimi „omady czarnoookich opalonych dzieciaków, bawiących się na słońcu, stada kóz, doglądanych przez półnagich pastuszków, patriarchalne dwukółkowe wozy, ciągnięte przez muły lub osły, ustrojone w czerwone pompony i dzwonki. Wspinając się w górę, odwieczali czasem mały cmentarzyk, drzemający pod strażą żalobnych cyprysów. Poeta pięknie mówił o śmierci, a Maria słuchała z półsnuiechem i cieszyła się, że żyje, rusza się, oddycha, że jest śliczna, młoda, kochana i myślała, że może, może śmierć nie istnieje naprawdę... Czasem ploszyli grzejącą się na słońcu jaszczurkę i patrzyli, jak jej giętkie wąskie ciało bezszelestnie znika wśród kamieni. Zajeżdżali do małej trattorii, gdzie jedli pomarańcze i chłodzili się pachnącym kwasowym Chianti, piesicili puszystego kota, karmili kury i gołębie.

Rozmawiali dużo o miłości. O czymże innym powinni byli mówić ci młodzi i piękni ludzie w takie różowe od wczesnego słońca poranki? Mówili raczej teoretycznie i ogólnikami. Norwid nie śmiał na razie zdradzić się, że kocha właśnie ją. Nie był wprawdzie z natury nieśmiały, ale bardzo drażliwy. Czuł, jak bardzo dłuży się i jeży ciemiemi droga od ubogiego nieznanego artysty do możnej i bogatej pani. *Un ver de terre amoureux d'une étoile*. Gdyby wzbudzić w niej przekonanie, jak marnie, puste i beztreściwe jest życie salonów. Ileż głębokich wzruszeń i najczystszych uniesień mogłaby znaleźć u boku artysty, który by potrafił wprowadzić ją w świat ducha, ukazać jej głębię i rozległe dale myśli, uczynić z niej towarzyszkę swoich wzlotów artystycznych, swoją Egerię i uwielbianą kochankę.

Pani Kalergis słuchała uważnie wszystkiego, co mówił o miłości, ale ani jednym słowem nie zdradzała zrozumienia, że do niej to wprost lecą te skrzydlate słowa. Może i rozumiała, ale uważała to za tak naturalne. Czyż po raz pierwszy słyszała z ust mężczyzny to wyznanie, może wyrażone nie tak pięknie, ale jednakowe w treści? Słuchała jednak z snuiechem. Tyle było pogody dookoła, tyle pogody w niej samej...

Bywały dni, gdy nie była zdolna mówić o rzeczach poważnych, dnie „du diable au corps” jak je nazywała. Wypuszczala wtedy konia galopem, aż jej błękitny woal furkotał na wietrze. Zatrzymywała się nagle, żeby powiedzieć jakiś żart i wybuchala głośnym śmiechem. Dokuczała Norwidowi, drażniła go opowiadaniem, jak to zamysła szaleć w Paryżu, kaprysowała, była lekkomyślna, nieznośna i uroczą. Poeta z całej duszy pragnął, żeby była inna, ale nigdy nie kochał jej silniej, niż wtedy, kiedy była właśnie taka.

MARIAN PIECHAL

MITOLOGIA MUZYKI

(FRAGMENT Z KSIĄŻKI O NORWIDZIE)

W normalnych nawet warunkach życia narodowego wyznaczał Norwid sztukę rolę nadrzędną i niezależną „jako chorągwi na prac ludzkich wiew”. Tak widział „przyszłą w Polsce sztukę... nie jak zabawkę ani jak naukę, lecz jak najwyższe z rzemiosł apostoła i jak najniższą modlitwę aniola”. Sztuka zatem pełni rolę inicjatorki życia, inspiratorki nowych jego możliwości i wykrywania nowych form uświadomienia najwyższych jego wartości, oczywiście w sensie moralnym.

W jednym z listów (29 lipca 1857) do Marii Trembickiej pisał: „Pisać można tylko procent od życia i od czynów. Malować tylko procent od uczucia i kontemplacji. Rzeźbić tylko procent od historii”. A zatem grać to procent od wszystkiego razem (od życia, czynów, uczucia, kontemplacji i historii), gdyż muzyka, ta — według Norwida — „wzdechkrólowa sztuk”, jest rodzajem sztuki najpowszechniejszym i najogólniejszym. Można by w ten sposób sformułować muzykę, że wyraża ona najogólniej „ducha” życia, czynów, uczucia, kontemplacji i historii. Tak to bowiem zdaje się wynikać ze słów, odnoszących się do muzyki, w V ustępie epilogu *Promethidiona*: „Myśli, które jeszcze nie nadleciały na widuokrag, szumią, z dala skrzydłami niby arfy eolejskie... i w tym to wieszczą jest muzyki. Kiedy je już okiem objąć można, malarz tęczę lejące zachwyca na płótno lub mur gmachu. A skoro już lekkimi skrzydłami swymi poczynają osiadać na frontonach świątyni i zamarmurzać jak postacie do snu się kładące, wtedy rzeźbiarz miejsce im otwiera w cichym łonie głazu ciosanego. Tam śpią na pokolenia i miraż na nowo w pieśń wstępuje przez ruiny, pejzaż lub legendę — przez natchnienie poety”.

Muzykę więc uważał Norwid za rodzaj sztuki inicjującej, malarstwo i rzeźbę za rodzaj utrwalający, a literaturę piękną za rodzaj syntetyzujący, gdyż słowo, narzędzie tego rodzaju sztuki, „nie tylko nas wyraża, ale i sądzi”. Muzyka i literatura są zatem jakby dwa „na słońcach swych przeciwnych bogi”, co pierwsza zainicjuje, to ostatnia zsyntetyzuje, zselekcjonuje niejako w formę prawną „testamentu czynu” już czysto życiowego. Do muzyki wchodzi życie, z literatury jakby wychodzi, jako ze swego pojęcia, i wprawnie uformułowanego testamentu. Od muzyki tedy należy zacząć, a idąc poprzez malarstwo i rzeźbę, na literaturę skończyć, rozpatrując poszczególne rodzaje sztuki u Norwida, jego do nich stosunek i jego w nich udział.

U kolebki każdego, nowo narodzić się mającego zjawiska historycznego, stoi, według Norwida, sztuka, w Polsce — rodzaj najsubtelniejszy tej sztuki: muzyka. Ona inicjuje nową pracę Polski nowej, opartej o plemienne dno warstwy ludowej, której skarby duchowe, idące zresztą ze szlacheckiej tradycji związku z ziemią, podjęte teraz przez sztukę polską, mają być nadal przez nią rozwijane i podnoszone „do potęgi przenikającej i ogarniającej ludzkość całą”. Ponieważ „lud” stanowi tę część organizmu narodowego, według Norwida, która odróżnia naród od innych, a wyższe warstwy i inteligencja stanowią tę część, która naród z innymi „połącza” — rozumiała teraz staje się tendencja Norwida, aby to co ściśle „narodowe” (czyli najpewniej „Judo-we”) unadnaradawiać, gdyż przez to tylko może Polska stwierdzić swe prawo do życia w społeczności innych narodów. Odrębność narodowe, epocypujące najpewniej w łonie ludu, podnosi na taki poziom wartości obiektywnych, które by pomnażały arsenał dorobku kultury ogólnoludzkiej. To nie znaczy, że rzecz „unadnaradowiona” ma stracić swój charakter narodowy, lecz ma być podniesiona na taki stopień doskonałości, aby zyskała wartość nowego, niezbędnego pier-

wiastka, pomnażającego elementy składowe kultury w ogóle. Unadnaradowić, to nie znaczy ujednostajnić, ale rozwinąć odrębność do takiej doskonałości, ażeby uzyskała charakter niezależnego typu. Czyż ta teoria rozwoju sztuki narodowej nie pokrywała się z teorią czynu narodowego? Oto, za jaką cenę fizycznego wysiłku i trudu umysłowego usiłował Norwid odzyskać w teraźniejszości i ubezpieczyć na przyszłość niepodległość bytu narodowego.

Przedstawicielami tej koncepcji byli dla Norwida: w sztuce — Chopin, w nauce — Kopernik. Oni są inicjatorami ideologii niepodległego życia polskiego. Stąd to akcentowanie w produkcji artystycznej polskiej tych pierwiastków, które „narod połącza” z innymi, czyli cech narodowościowych jako pierwiastków najważniejszych. Nie tylko zresztą w produkcji artystycznej, ale i politycznej i każdej innej, będącej przejawem narodowego życia Polski. „Książę Adam Czartoryski... samą wytrwaleścią w krzątaniu się około Rzeczypospolitej wyrównawszy najwytrwalszym męzom politycznym swej Epoki, przeszedszy w tym o wiele francuskich, rosyjskich i niemieckich, dorównawszy angielskim, dopiął już w osobistym swym kierunku założenia, o którym mówiliśmy. Mickiewicz w pieśniach podobnie świat zwycięzył. Bem w bohaterstwie na czele wieku stawał. Fryderyk Chopin w sztuce wyrównywał współczesnym i przechodził. W walce tej o ducha iluz padło?... ilu pada?...”

Jeśli Norwid w stosunku do Czartoryskiego i Bema zbyt wiele przesadził, to w stosunku do Mickiewicza (nawet politycznej i społecznej jego działalności, a nie tylko „pieśniarskiej”, do której go tutaj Norwid z wiadomych powodów łączy) i Chopina nie podobna się z nim nie zgodzić. Czyżby zatem w końcowym zdaniu o tych, którzy „w walce tej o ducha padli” lub „padają jeszcze”, miał na myśli siebie? Jeśli tak, to możemy stwierdzić, że „padnięcie” jego nie było w istocie tak tragiczne, jak mu się wydawało ówczesnie, skoro dziś nie podobna inaczej postawić Norwida, jak tylko w szeregu: Kopernik, Chopin, Mickiewicz...

Że Norwid muzykę i literaturę zawsze uważał za skrzydła tego ptaka, którego nazywał sztuką narodową, daje się wyczuć od najwcześniejszych jego utworów. Wszędzie muzykę stawia jako biegum przeciwdziałającą literaturze. Co jedna rozpoczyna to druga ma skończyć: „Czarńoiejskie ja rzeczy chce, ta serce uleczy — i zagralem”. Zagrał wpróż, aby móc dojść do rzeczy czarńoiejskiej. Albo: „o żar słowa i treści rozsądek i emienia niech berło w muzykalny złączą się porządek, słowem każdym jak perlą”. U początku więc tego „porządku elementów w utworze literackim ma stać poczucie harmonii muzycznej. „A ty skąd wzięłaś na te skrzypce deski, jeśli nie z lipy bodgaj czarńoiejskiej” — zapytuje skrzypka Nikodema Biernackiego, w wierszu, do niego zwróconym, a dalej: „czy posłannikiem idziesz od świtania”? A więc muzyka jakby bezpośrednio z wieczności czepała treść w rzeczywistości do innych rodzajów sztuk, które czerpią z tradycji, z historii i życia. To ostatnie zapytanie można jeszcze tłumaczyć jak ot później zobaczymy, że świtem dla Norwida była właśnie owa odległa epoka w cieniu „lipy czarńoiejskiej”. Tymczasem należy zwrócić uwagę na ten inspirujący charakter muzyki w *Fortepianie Chopina*, gdzie „była... Polska od zenitu wszechdoskonałości dziejów”. W *Promethidionie* wreszcie powie Norwid, że w „Polsce — od grobu Fryderyka Chopina rozwinięta jest sztuka, jako powojny wieniec, przez pojęcia nieco szlachetniejsze o formie życia, to jest o kierunku piękna i treści życia, to jest, o kierunku dobra i prawdy. Wtedy artysta się złoży w całość narodowej sztuki”.

MARIAN PIECHAL

RÓŻA CZEKAŃSKA-HEYMANOWA

K S I A Ź K I

MICHAŁ LERMONTOW: *Demon*. Powieść wschodnia. Z rosyjskiego przełożył Kazimierz Chyliński. Warszawa. F. Hoeseck. 1936. Str. 47 i 3 nł. — Toż samo w przekładzie Józefa Skłodowskiego. Warszawa, F. Hoeseck. 1937. Str. 54 i 2 nł.

Niesmiertelny poemat Lermontowa do czekał się w swoją setną rocznicę aż dwu naraz przekładów. Upřednio próbowano przekładać *Demona* pięciokrotnie, razem więc z niedrukowanym przekładem niżej podpisanego jest tych prób osiem! Hościowo płon imponująco, za to poziom przekładów nie zawsze dający pojęcie o poetyckiej klasie Lermontowa.

Przełożyć *Demona* to wysiłek nielada. Bogactwo obrazowania, krótki wiersz jambiczny, męskie rymy, nierzadko potrójne, — wszystko to spiętrza raz po raz karkołomne dla tłumacza przeszkody. Chyliński jako tak jeszcze daje sobie rady, niekiedy tylko rezygnując z kolejności rymów i wierszy, natomiast drugi tłumacz, Józef Skłodowski, uprosił sobie zadanie, dowolnie rymując i opuszczając, gdzie się tylko da, męskie końcówki. Zupełnie miedopuszczalna wydaje się swoboda, z jaką tłumacz eliminując całe wiersze Lermontowskie; zwłaszcza Skłodowski poczyna sobie dość beceremonialnie. Pierwszy fragment poematu zawiera w oryginale wiersz dwadzieścia dwa, u Chylińskiego dwadzieścia, u Skłodowskiego osiemnaście. Trzeci fragment obcina Skłodowski znówu o trzy wiersze, za to w szóstym, widocznie dla rekompensaty, daje o trzy wiersze za dużo — i tak co krok.

Łamanie się z trudnościami wersyfikacyjnymi sprawiło, że szczegóły topograficzne uległy niejednokrotnie zatarciu. Kapitalny opis Dariańskiego wąwozu:

*i głęboko wzniz czernieja,
kjak trzeszczina, żyłiszce zmieja,
wilisia izluczystyj Darjal*

udał się na ogół Chylińskiemu, nieporzebnie tylko dwukrotnie — w przypisie i tekście — robi z Darialem rzekę:

Dariału — rzeki ciemny łuk.

Skłodowski w ogóle pomija nazwę wąwozu, — błąd nie do darowania; opisywać Kaukaz i nie wspomnieć o Dariańskiej przepaści, to tak, jak w ogrodzie zoologicznym nie zauważyć słonią; oczywiście Lermontow był uważniejszy od swoich polskich tłumaczy. Kiedy indziej Skłodowski jest bardziej skrupulatny, podaje za Lermontowem rasę wierzchowca:

syn Karabachu, rasy czyste

Chyliński to opuszcza, a szkoda! — z takich szczegółów przeciw powstaje koloryt lokalny, bez którego Kaukaz nie będzie Kaukazem. W tym wypadku nie można się nawet usprawiedliwiać trudnościami wersyfikacyjnymi, bowiem dwuwiersz:

*pitomiec riezwyj Karabacha —
priadiot uszni i polnyj stracha*

da się przełożyć niemal dosłownie i nawet z zachowaniem rymów oryginału. I w jednym i drugim przekładzie nie wiadomo, kto napadł na karawanę narzeczonego Tamary, — w oryginale wyraźnie: *złaja pula Osiatina jeto wo mrakie dagnala*. Na stronie dziewiętnastej Skłodowski tak opisuje utarczkę z napastnikami:

staje w strzemiönach, ścieka w ręce
wodze, papacę wgniółł na brwi
waleczny księżę... Broń! Ostroga!
Nahajki trzask...

Znów gaffa, spowodowana nieznaną lokalną gąffą, żaden Kaukazczyk ostrogi nie przypnie, wystarczy mu właśnie „nahajki trzask“.

Filologicznie przekłady nie nastęrczają zbyt wielu zastrzeżeń, waty słownej dla rytmu stosunkowo niewiele. Gorzej z wycuciem poetyckiej barwy słowa i jego stylistycznej wartości. Od prozaizmów aż się roi, co zwłaszcza w przekładzie romantycznego *Demona* sprawia fatalne wrażenie.

U Skłodowskiego: popatrzył anioł ku ofierze i wolno ruszał jęł skrzydłami...

na klasztornego bytu znoje (?) Tamarę biedną odwieziono... klnę się na tryumf wiecznej prawdy lśnień (w oryginale: *i wiecznej prawdy torżestwom*); zdarzają się jednak i fragmenty, przełożone bardzo pięknie, choć nigdy nie wolne od grzechów przeciw wierności wersyfikacyjnej.

Chyliński tłumaczy na ogół z większym połotem, ale też znaleźć u niego można prawdziwe okropności, których nie podobna czytać. Tak więc na stronie 8-jej gładko tłumaczy:

Bezdomny błdzi niebios zbieg
i granie nie ma ta pokuta...

a zaraz potem rozkłada się na obydwie łopatki:

rozrzucił po niej złoto nici
bez s a t y s f a k c j i, mimo to
nie spotkał nigdzie o p o z y c j i...

Nie udało się też obydwu tłumaczom przekład jednego z piękniejszych fragmentów poematu — słowa *Demona* do Tamary:

*Na wozdusznom okieanie
biez rula i biez wietrii...*

Bardzo pięknie za to przełożył Chyliński wiersze końcowe tego urywka:

do ciebie zlece, by do świtu
nawiewać złote sny zachwytu
na ciemny jedwab twoich rżes...

Na ogół przekład Chylińskiego jest bardziej nierówny, miejscami doskonały, gdzie indziej kompromitująco słaby — ale bodaj to lepsze od szarej przeciętności Skłodowskiego, który by musiał chyba na nowo poemat tłumaczyć, żeby mu dać formy wersyfikacyjne odpowiadające oryginałowi; w przekładzie Chylińskiego wystarczy poprzerać miejsca najsłabsze.

JÓZEF ŁOBODOWSKI

MARIAN CZUCHNOWSKI: *Cyna*. Powieść. Kraków 1937. Nakładem autora. Str. 224.

Powieść „więzienna“ Czuchnowskiego powstała z bezpośrednio poznanej twórczości obserwacyjnej. Klasowo uświadomiony poeta *Trudnego życiorysu* w tej swojej pierwszej próbie prozy epickiej postanowił odzwierciedlić obraz środowiska więziennego w ramach opowiadania realistycznie obiektywnego, z taką wszakże ukrytą myślą, aby perspektywiczne skupienie przedstawionych faktów miało zamierzoną wymowę społeczną. Do tego celu została dostosowana kompozycja powieści, której część pierwsza (rozdziały I—XII), zakończona straceniem jednego z więźniów na szubienicy, daje ściśle przedmiotową charakterystykę więzienia i jego ludzi; w części zaś drugiej (rozdziały XIII — XXIV), chronologicznie wcześniejszej, na tle głodówki, zakończonej śmiercią dwóch więźniów, z których społecznik Józef jest już wyraźnym rezeronem ideowym, wysiłek autora zmierza do poszukiwania i pogłębienia tragicznej prawdy człowieka. Całość opowiadania jest utrzymana w jednolitym stylu rzeczowej prostoty, jedynie pod koniec nabierającym umiarkowanych akcentów lirycznych, natomiast odrębne zadania dwóch części powieści zostały wyd wydawnictwa przez rozkład ciśnienia charakterologicznego, które dopiero w części drugiej działają w kierunku wewnętrznym, przez co i ogólny obraz środowiska i poszczególne jego jednostki od swego dna psychicznego odsłaniają dalej poza mury więzienne prowadzący widok społecznej krzywdy. Nie ma tu jednak żadnego roztkliwiania się nad ofiarami losu, w którym „uczciwe życie nosiło znamiona bohaterstwa“, więźniów bowiem i ich sprawy przedstawiono z opanowanym spokojem pozornie chłodnego obserwatora, wydobywającego z opisywanego środowiska całą jego ludzką rzeczywistość, nie wyłączając nawet humoru w świetnie uchwyconej postaci złodzieja kieszonkowego Zahlpetera. W posłowie książki autor stwierdza, że „świat przedstawił z naciskiem na ruch i rozwój człowieka“, oraz wyznaje, że chciał „dać powieść uczciwą społecznie,

czystą moralnie, jasną artystycznie“. Oba te zamiary w zakreslonych osnową *Cynku* ramach wykonał Czuchnowski w sposób do brze świadczący o epickich zdolnościach poety, zasłużonego dotychczas przede wszystkim żywiołowym liryzmem swego młodzień-



MARIAN CZUCHNOWSKI

czego *Poranka goryczy*. Ów liryzm w pierwszej powieści autora płynie głęboko ukrytym nurtem podskórnym, którego obecność jednak daje się odczuwać, chociaż jest świadomie hamowana. Nie psuje to bynajmniej realistycznego toku opowiadania, tylko go niejako od spodu unosi i dynamizuje, przez co do celowej prostoty wyrazu ograniczona proza Czuchnowskiego zyskuje na emocjonalności, coraz wzbrierającej, zwłaszcza w drugiej części *Cynku*, gdzie jednak nie wyzwolonej z narzuconych jej więzów. Wydaje się, że próba rozpętania demona poetyckiego na terenie prozy powieściowej przyniesie by mogła wyniki godne twórczego wysiłku, tymczasem wszelkie przyznać trzeba, iż Czuchnowski okazał się także dobrym i w swoim rodzaju wybitnie oryginalnym realistą.

KAZIMIERZ CZACHOWSKI

Dzieje literatury pięknej w Polsce. 2-ć wyd. Polska Akad. Um. Kraków. Cz. I — 1935, cz. II — 1936.

Na *Dzieje literatury pięknej w Polsce* złożyli się najwybitniejsi znawcy piśmiennictwa polskiego. Praca zbiorowa — to cecha pierwszej tej publikacji. Drugą cechą ważną jest podział według gatunków literackich, a więc osobno potraktowano dzieje poezji, a osobno dramatu, osobno powieści. Podział według gatunków został nadto zróżnicowany przez podział na epoki, przy czym każdą epokę opracował inny autor. Np. *Rozwój powieści w Polsce* opracowało aż trzech pisarzy. Wiekami XVI zajął się prof. Julian Krzyżanowski, epoką baroku i epoką saską prof. Gubrynowicz, dalszym rozwojem aż do czasów ostatnich prof. Szwejkowski. Dodajmy, że każdy z tych badaczy ma inne zamiłowania i inną metodę. Krzyżanowski jest historykiem i filologiem, Szwejkowski znów lubi ogólnie dociekania psychologiczno-socjologiczne.

Przykład, jak opracowano powieść, wystarcza, żeby dać pojęcie o dodatkich i ujemnych stronach tej zespołowej metody. Najważniejszą zaletą będzie specjalizacja, której wspaniałe owoce widzimy w pracy prof. Simki o poezji nowolacińskiej w Polsce lub pracy prof. Chrzczanowskiego o literaturze stanisławskiej.

Najważniejszą wadą — daleko posuniętą atomizacja. Poszczególne wiadomości nie układają się w jeden obraz. Dzieje się to nie tylko z okresami ale, co gorsza, także z autorami. Każdy sztab musi mieć szefa. Tymczasem czytając literaturę akademicką, dość często stwierdzamy brak redaktora, który by koordynował pracę uczonego grona. O niektórych autorach i dziełach piszą aż dwaj uczeni a o innych nikt; o Faleńskim, Leonardzie Sowińskim i Norwidzie osobno napisał Kridl i osobno Brückner. W następstwie tego otrzymujemy czasem dwie różne oceny tych samych twórców np. Faleńskiego — ujemną prof. Kridla i dodatnią prof. Brücknera.

Poszczególne działy zostały opracowane nierówno. Jak przystało na publikację akademicką, starannie opracowano czasy dawniejsze, aniżeli nowe. Im głębiej w przeszłość, tym więcej skrupulatności naukowej tak iż wreszcie studium prof. Bruchnalskiego o Łacińskiej i polskiej poezji w Polsce

średniowiecznej zamienia się w jeden potwornie nabity wykaz bibliograficzny. „Młoda Polska“ zaś traktuje się już pobieżnie a współczesność zgola neglżuje. Nawet tak pracowity dział jak *Dramat w Polsce* (pióra prof. Szyjkowskiego) dziwnie uboższe, w miarę zblżania się do współczesności. Dziwnym przypadkiem losu staremu Brücknerowi przypadał w udziale mówić o współczesnej poezji...

Pragnę zwrócić uwagę na dwa studia: na studium prof. Brücknera *Poezja nowa 1864 — 1935* i na studium Kridla *Poezja w latach 1795 — 1863*.

Część pierwsza studium Brücknera udęrza trafnością uwag i pewną nonszalancją, nie pozabawioną zresztą „starszylackiego“ wdzięku. Brückner z przekąsem odzywa się o filozoficznej poezji Asnyka, wtyka rozwlekłość i gadulstwo Konopnickiej, nie szędzi Kasprowicza, Norwida ceni, lecz nie entuzjastycznie się nim zhytnio. Umie jednak ostro przeciwstawić go współczesnym („Czytelnicy lubujący się w płaskościach Pola, Lenartowicza, Kondratowicza unikali głębokich ale nieraz dla nich ciemnych wierszy norwidowych“).

Ocena współczesnych gorzej wypadła. Nie pomogła w tym wypadku staremu uczonemu jego przysłowiowa żywotność. Tuwim kończy się dla Brücknera na *Rzeczy Czarńoleskiej* a Wierzyński na *Laurze olimpijskiej*. Razi to zwłaszcza, gdy się weźmie pod uwagę że autor twórczość niektórych młodszych talentów śledzi aż do roku 1935. W analizie Brückner się nie wdaje. Wielu pisarzy zhywa nie nie znaczącymi uwagami np. o Iwaskiewiczzu dowiadujemy się tylko, że „uprawia chętnie i prozę poetycką, pisze powieści“. Co prawda to i Szwejkowski w dziele powieści nie wysilił się zhytnio pisząc o Iwaskiewiczzu, więc trudno specjalnie „przezycać się“ do starego i za granicą mieszkającego historyka literatury.

Praca prof. Kridla winna zainteresować czytelników ze względu na zawarte w niej tendencje rewizjonistyczne. (Częściowo rewizjonistyczne jest również studium prof. Krzyżanowskiego o poezji XVI w.). Prof. Kridl postawił sobie za cel ocenę estetyczną, namiętne przeciwstawiając się staremu genetyczno-biograficznemu kierunkowi badań literackich. „Rzecz ważniejszą i decydującą o roli i znaczeniu poety, — pisze — jest nie droga, jaką doszedł do zmiany kierunku twórczości, ale rezultat artystyczny tej przemiany“.

W pracy prof. Kridla ciągle pobrzmięwa ton polemiki. Bojowe założenia dały interesujące wysiłki negatywne, jak krytyka *Konrada Wallenroda*, III części *Dziadów* a zwłaszcza „odbrązowywanie“ Woronicza, Niemcewicza, Goszczyńskiego i Zaleskiego. Natomiast pozytywne ocen estetycznych autor nie dal. Autor z dużym zacięciem dowodzi, że Krasński i Goszczyński byli mierzonymi wierszopisami. Kiedy jednak przystępuje do oceny prawdziwej poezji, wtedy jego impet krytyczny maleje i autor nie wychodzi poza konwencjonalne określenia jak „perełki liryki“. Autor wspomina naprzykład o „wzniosłym pięknie“ *Ojca zadziurnych*, ale nie mówi, na czym to piękno polega. Kiedy indziej znów poprzestaje na stwierdzeniu, że o formie *Hymnu o zachodzie słońca*, „można by osobne studium napisać“. W studium prof. Kridla spotykamy też nieporozumienia krytyczne, jak np. pretensje żęby Słowacki w *Grobie Agamemnona* poprzestął na opisie grotty i swego melancholijnego nastroju a wyrzucił całą część ideologiczną. Niekonsekwencją metodologiczną jest badanie świadomie luźnej kompozycji *Beniuoskiego* pod kątem... zwartości. Albo „psychologiczne“ dociekania na temat, jakie braki organiczne nie pozwoliły zostać poetą Niemcewiczowi. Najwidoczniej autor zapomniiał w ciągu pracy o swej słusznej zasadzie, że ważne są nie procesy twórcze lecz artystyczne rezultaty.

WACŁAW KUBACKI

TADEUSZ GRZEBIENIOWSKI

IRLANDIA
WSPÓŁCZESNA

POLITYKA
KULTURA
LITERATURA

WYDAWNICTWO „DROGI“

Skład Główny: Warszawa, Księgarnia
TRZASKI, EVERTA i MICHALSKIEGO

Cele, które swej pracy postawiło Tow.Popierania Budowy
Publicznych Szkół Powszechnych muszą pobudzić do ofiarności
i współdziałania każdego Polaka, pragnącego, by naród polski
był wielkim narodem.

Wacław Kubacki

PRZEGLĄD PRASY

WACŁAW MROZOWSKI

O PRZYJACIELU

Pamięci Br. L. Michalskiego



BR. L. MICHALSKI (z kapeluszem) I JEGO PRZYJACIELE

Czarnej głowy nie owionie złocisty wiatr jesienny.
 Nie zagra muzyka wierzbowych bacików kołysanki ostatniej.
 Nie rozszumi bujnych kędziorów.
 Zawyje tylko, pędząc znad Wisły тумanem i skacząc do oczu przechodniom.
 Piękny, rozwydrzony wiatr Powiśla.
 Powiśle.
 Chodziliśmy tu w ciemne wieczory pełne gwiazd jedynych, młodzi i bujni — gromadka z lubelskiej ziemi.
 Siedząc nad otuloną mgłami Wisłą, w słuchani w szmer fal, wypływałyśmy tajemnice białej wody, nie wiedząc co czeka jednego z nas.
 Nie dla poetów cichy dom.
 O piękna ziemi nadbrzeżna!
 O, Powiśle!
 Urzekłoś nas swym urokiem. Mieszkałszy tu, na Dobrej. Ileż wspomnień nam tylko wiadomych kryje w sobie dom pod dziwiątką!
 — Dobra jest dobra — mawiał smutnie Broniek.

Miał w sobie coś z jesiennego wichru. I coś z najsmutniejszego człowieka, który stracił wiarę i którego życie było przewczesną klęską. Może winą było tragiczne odejście ukochanej kobiety u podnóża Tatr i młodości.
 Często mówił o śmierci. Zdawał się nosić ją w sobie, w spojrzeniach.
 I dźwicy mi w uszach jego zachwyty nad Rilkiem: „...umarli są ludźmi, którzy usunęli się w samotność, aby rozmyślać o życiu“.
 Skryty, pełen dziwnego niepokoju, wiecznie owiany myślami — ożywał się przecież. Jego zachwyty nad dzieckiem bawiącym się w piasku był równy odrobini szczęścia. Umiłowanie przyrody — namiętne. Samotność aż do niepewności ostatniej godziny. To był właśnie Broniek.
 „Dolek“
 Niesposób myśleć o Bronku bez wspomnienia tej najcharakterystyczniejszej knajpy Powiśla. Rzędy ustawionych stolików, bilardy, obite ściany, jacyś podejrzani ludzie, harmonista z żoną, stolarz, ktoś z gazowni

miejskiej, wędrowny sprzedawca dywanów, poeta, doróżkarz, gromadka drobnych dzieci i duże siwe wasy właściciela.
 Wreszcie — Broniek rozmyślający o rzeczach wiecznych przy wytartym stoliku.
 Mogła na bródniejskim cmentarzu, kopczyk ziemi gliniastej — tyżesz to?
 Tyle razy dzieci Powiśla patrzyły, jak ciężką wodę pływacko twoje silne ręce, a przecież zmogła cię cicha woda wiślana. Nawiała ci „oczy kolorami“
 Nie wiemy, jakie są te kolory ostatnie, ostateczne...
 Z całym smutkiem wiemy tyle tylko, że gdyś toął, nas nie było przy tobie...
 Maly chłopiec w posępnym dniu wołał dla ciebie ratunku. Głos jego w wicherze niósł się nad piaszczyną pustego wybrzeża, lecz do nas nie doleciał.
 Stało się.
 Mogła na bródniejskim cmentarzu — tyżesz to?
 „...już lepiej nie wspominać; tylko ogromnie żał, że drzewa... i mroczna, gęsta lin...“
 WACŁAW MROZOWSKI

Ostatnią sensacją literacką sezonu ogórkowego było oskarżenie o plagiat — Wacława Sieroszewskiego. Wystąpił z nim p. Herneś na łamach *Malego Dziennika*, po czym — jak to zwykle bywa — rzecz obiegła wszystkie pisma zaprzyjaźnione. Oskarżenie opiera się na jawnym nieporozumieniu (co rzeczowo i autorytatywnie wyjaśnił prof. Julian Krzyżanowski w liście do redakcji *Prosto z mostu*). „Bajki“ Sieroszewskiego, jak w przeznaczonej części utworu tego rodzaju literackiego, nie są samodzielnym dziełem fantazji twórczej, lecz indywidualnym opracowaniem konwencjonalnych wątków i motywów. Nigdy też nie uważano ich za człowiek utworu autora *Olsoni-kisań* i *Risztau*; dla ogółu czytelników i krytyków było i jest jasne, że stanowią one drugorzędny margines twórczości znakomitego pisarza.

Skoro pociąg okazał się za słaby, przeciwnicy Sieroszewskiego wytoczyli inną broń: przypomnieli sobie stary artykuł P. Grzegorzczaka o źródłach *Zamorskiego diabła*. Ale stosunek pisarza do źródeł może być rozmaity; i w wielu znanych dziełach sztuki zachodzi fakt dosłownego niemal wtłaczania surowego materiału do artystycznej struktury. Dziś, w epoce reportaży i „żywołów romansowych“, pisarze podają na końcu „bibliografię przedmiotów“, dawniej, w pierwszym okresie naturalizmu, tego zwyczaj nie było. Ale coż to ma wspólnego z plagiatem?

Moda na oskarżenia o plagiat staje się nagminna. Jest przy tym rzeczą godną uwagi, że osobiście trafem, plagiatorem okazuje się zawsze osoba... politycznie niewygodna. Tak i teraz, Sieroszewskiego oskarżyła klerykałna gazetka; w momencie gdy znaczna część prasy atakuje go namiętnie za wystąpienie w sprawie wawelskiej. Zwykła kolej rzeczy.

Przeszła się ukazywać ostrzeszowska *Okolica poetów*. Wydawca jej i redaktor Stanisław Czernik — schodzi z honorum z pola; należy mu się uznanie za odwagę, konsekwencję, wytrwałość. Umiął skupić pod swym sztandarem wielu młodych autorów; wielu z nich umożliwił pierwszy krok poetycki. Przeprowadził też kilka ankiet, które dostarczyły sporo ciekawego materiału.

Główną ideą *Okolicy poetów* był autentyzm. Zwalczałmy tę ideę i nieraz na tym tle dochodziło do ostrych sporów między nami a redaktorem ostrzeszowskiego miesięcznika. Spory te miały charakter sporów zasadniczych, merytorycznych; żałujemy więc, że ubył nam — rzecz rzadsza i cenniejsza niż się wydaje — ideowy przeciwnik. W ostatnim numerze *Prosto z mostu*, już po zamknięciu swego pisma pisze St. Czernik o „polskim autentyzmie“; podkreśla tu słuszenie swoje prawo autorskie do terminu, który już się powszechnie przyjął w naszej krytyce. Czernik upatruje w autentyzmie pierwszy samostny, rdzennie polski kierunek literacki, widzi w nim zapowiedź nowej poezji, poezji przyszłości. Nam się natomiast wydaje, iż idea autentyzmu (w sformułowaniu, jakie nadawała im *Okolica poetów*) stanowią nie tyle zapowiedź, ile raczej ostateczne spełnienie; do krańcowej konsekwencji doprowadzony jeden z ideałów artystycznych XIX stulecia.

Po zamknięciu *Okolicy poetów* jedynym miesięcznikiem poetyckim, jaki pozostał na placu jest — *Skamander*. Właściwie pismo to niesłusznie mieni się miesięcznikiem, ukazuje się bowiem raz na kwartał. W jakim celu się ukazuje — trudno zgadnąć. Pozbawione idei, nie posiada absolutnie żadnego wyrazu, żadnego sensu kulturalnego. Tyle tylko, że drukuje od czasu do czasu solidne artykuły literackie i poprawne wiersze. Snobistyczna zabawka pp. wydawców *Wiedomości Literackich*, którzy szczerzą się, iż „beziinteresownie“ popierają „czystą sztukę“.

Ostatni zeszyt tego kwartalnika (za lipiec — wrzesień b. r.) przedstawia się wyjątkowo beznajdziejnie.

Hieronim Michalski ogłosił w *Czasie* (z dn. 22 sierpnia) interesujące rozważania na temat antologii współczesnej poezji polskiej. Antologii takiej nie mamy; te, które istnieją (Galińskiego i Szezerbowskiego), są bardzo dalekie od doskonałości. Michalski proponuje, aby dokonać wyboru na podstawie jak najszerzej, aby znaleźli się w niej wszyscy autorzy utalentowani, — zarówno wybitni jak pomniejsi. Aby wybór był sprawiedliwy,

opracowaniem antologii winno się zająć ciało zbiorowe, złożone z krytyków o różnych przekonaniach estetycznych. W sumie stworzyliby oni wszechstronne kompendium, wprowadzające niezorientowanego czytelnika w świat współczesnej poezji.

Michalski przedstawia próbną listę poetów, którzy, jego zdaniem, powinni być włączeni do antologii. Jest ich siedemdziesięciu dwóch. Z listą tą polemizuje na łamach *Kuriera Wileńskiego* Józef Maślinski. Zarzuca on słusnie Michalskiemu, iż pominał niektóre pierwszorzędne talenty, wymieniając natomiast różne miernoty. Jak z tego widać, sprawa ta zw. obiektywnej antologii informacyjnej nie jest rzeczą tak prostą, jakby z pozoru można było sądzić. Zagadnienie jest zbyt ważne i złożone, by je na tym miejscu rozstrzygać; domaga się ono obszerniej wyczerpującej dyskusji, którą zapewne przeprowadzi na swych łamach kierownictwo działu literackiego *Czasu*.

Z licznych głosów krytycznych jakie wywołał nowy tom *Rocznika Literackiego*, należy wymienić ostry artykuł Ignacego Fika w kolumnie literackiej *Krakowskiego Kurjera Wieczornego*. Fik ostro atakuje Piwińskiego i Zawodzińskiego; zwraca też uwagę na szczególną anomalię *Rocznika* w wielkiej, trzystostronicowej księdze *Poezji i powieści polskiej poświęconej jest niewiele więcej ponad pięćdziesiąt stron. Rzecz znamienita, iż niemal wszyscy recenzenci Rocznika atakują tych samych referentów: atak na Piwińskiego tłumaczy się raczej nieroforną kompozycją jego fereratu (por. recenzję w poprzednim numerze *Pionu*) — inaczej ma się rzecz z Zawodzińskim. W tym sporze idzie o rzecz zasadniczą, o stosunek do poezji współczesnej i kryteria jej wartościowania; kryteria p. Zawodzińskiego podaje w wątpliwość i *Gazeta Polska* i *Polska Zbrojna w kulturę* i *Krakowski Kurjer Wieczorny*. Zapewne, p. Zawodziński może się tłumaczyć, iż nie podobna zadowolić wszystkich; rzecz jednak w tym, iż nie zadawala on obecnie nikogo oprócz redakcji *Rocznika*...*

W najbliższych numerach

PIONU

ukazą się między inn. następujące prace:

- JANA BRZĘKOWSKIEGO: „Integralizm w czasie“.
- JÓZEFA CZECHOWICZA: „Obraz“ (jedn. aktówka)
- KAROLA IRZYKOWSKIEGO: „Przemiany altruizmu“
- ALFREDA ŁASZOWSKIEGO: „Pen Cook“
- JÓZEFA ŁOBODOWSKIEGO: Przekłady z Pasternaka i Lermontowa
- CZESŁAWA MIŁOZA: „O Edwardzie Pogrzebowiczu“
- KAZIMIERZA TRUCHANOWSKIEGO: „Falszywi apostołowie“.

Prowincja czwta przede wszystkim

gazety miejscowe. Toteż dobre rezultaty dają ogłoszenia pomieszczone w dzienniku

„Express Lubelski i Wołyński“

XV rok wydawnictwa
 Najwyższy nakład na terenie
 Województw Lubelskiego i Wołyńskiego

Bliższe informacje, egzemplarze okazowe, kosztorysy ogłoszeń — na każde żądanie.

Lublin, Kościuszki 8, tel. 23-60.

KSIĄŻKI NADEŚLANE

- Dr MICHAŁ KAUFMAN: *Krytyka polityki żydowskiej*. Warszawa 1937. Nakładem Autora.
- KSAWERY PRUSZYŃSKI: *W czerwonej Hiszpanii*. Warszawa 1937. Tow. Wyd. „Rój“.
- BERTRAND RUSSELL: *Droga do pokoju*. Przełożył Antoni Pański. Warszawa 1937. Tow. Wyd. „Rój“.
- FRANK HARRIS: *W pogoni za pełnią życia*. Wstęp P. Hulki-Laskowskiego. Warszawa 1937. Tow. Wyd. „Rój“.
- P. G. WODEHOUSE: *Diakuje, Jeeves*. Przeł. J. Sujkowska. Warszawa 1937. Tow. Wyd. „Rój“.
- ANTONI DEBCZYŃSKI: *Haszysz Czarnego Łądu*. Warszawa 1937. Nakładem „Roju“.
- ZOFIA REUTT-WITKOWSKA: *Altarz Wniebowzięcia*. Warszawa 1937. Nakładem „Roju“.
- EUGENIA KOBYLIŃSKA: *Niespodzianki małżeństwa*. Warszawa 1937. Nakładem „Roju“.
- JACQUES BAINVILLE: *La Russie et la barrière de l'Est*. Librairie „Pion“, Paris 1937. Edition d'histoire et d'art.
- HENRYK JACEK: *Stowa o Wodzu*. Warszawa 1937. Skład gł. Gebethner i Wolff.

U KSIĘGARZY

Księgarnia F. Hoesicka, specjalizująca się jak dotąd głównie w dwóch kierunkach (biblioteka poetycka i wydawnictwa prawnicze), od pewnego czasu wydaje także beletrystykę. Tam to przecież wyszła sławna już dzisiaj powieść BREZY pt. *Adam Grywałd*. Obecnie na sezon jesienny księg. Hoesicka przygotowuje szereg wydawnictw powieściowych, wśród których znajdują się debiuty pisarzy znanych już z innych rodzajów literackich. I tak wyjdą w najbliższym czasie powieści *Młodość Jasia Kunefala* — STANISŁAWA PIETAKA, *Gorycz* — STANISŁAWA CZERNIKA, *Ulica Ogrodowa* — ANDRZEJA WOLICY. Z debiutów stu procentowych prozaików wymienić należy: *Czwarty stan* — JANA WENDEGO, *Cień* — ZOFII ŻYLIŃSKIEJ, *Droga odwetu* — JANINY MIKULSKIEJ oraz powieść pt. *Urzeczeni* — STANISŁAWA POGOBA.

Pisarze o szeroko znanych nazwiskach stanowią trzecią kategorię. Tu zaliczyć należy nowe powieści EMILA ZEGADŁOWICZA (*W błocie po uszy*), JANA BRZĘKOWSKIEGO (*24 Kochanków*) oraz JERZEGO HULEWICZA (*Szaruga*).

Poza tym również u Hoesicka wyjdą w najbliższych tygodniach wiersze zebrane JAROSŁAWA IWASZKIEWICZA, drugi tom pism K. H. ROSTWOROWSKIEGO, nowe dzieło prof. J. K. KOCHANOWSKIEGO p. t. *Człowiek a humanizm*, wreszcie romantyczna biografia pięknej Marii Calergis w opracowaniu RÓŻY CZEKAŃSKIEJ-HEYMANOWEJ.

Jak widzimy, zamierzenia wydawnicze Księgarni Hoesicka idą po linii popierania tylko i jedynie krajowej produkcji literackiej z pominięciem jakichkolwiek tłumaczeń z literatur obcych.

Redakcja: Warszawa, Chmielna 33, telefon 3.04.09; czynna codziennie (w dni powszednie) od godziny 12 — 14. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się. Administracja: Warszawa, Chmielna 33, tel. 3.04.09; czynna codziennie od godziny 12 do 14. Prenumerata w kraju: mies. 1.80 zł., kwart. 5 zł., rocznie 18 zł., za granicą: mies. 2.50 zł., kwart. 7 zł. Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty — 60 gr. za tekstem; 80 gr. w tekście. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

ZA REDAKCJĘ: Józef Czechowicz

WYDAWCA: Wilam Horzyca